



G.K. Chesterton

ORTO DO KSJA



FRONDA

ORTO DO KSJA

[Kup książkę](#)

G.K. Chesterton

ORTO DOKSJA

ROMANCA O WIERZE

przełożyła
MAGDA SOBOLEWSKA

WARSZAWA - ZĄBKI
2004

[Kup książkę](#)

Tłumaczenie:

MAGDA SOBOLEWSKA

© by Magda Sobolewska

Projekt okładki i opracowanie typograficzne :

JAN ZIELIŃSKI

Korekta:

AGNIESZKA FLISIAK

Łamanie:

IWONA ZIELIŃSKA

ISBN 83-921200-1-9

ISBN 83-7031-427-9

Wydawcy:

FRONDA PL SP. Z O. O.

ul. Olbrachta 94

01-102 Warszawa

fronda@fronda.pl

www.frona.pl

APOSTOLICUM

ul. Wilcza 8

05-091 Ząbki

www.apostolicum.pl

info@apostolicum.pl

Druk:

APOSTOLICUM

ul. Wilcza 8

05-091 Ząbki

WYDANIE II – POPRAWIONE

OD WYDAWCY

Dlaczego kochamy Chestertona: kochamy go, gdyż w czasach zwątpienia w prawdę pojawia się człowiek, który mówi o prawdzie gorąco i przekonująco. Kochamy go, ponieważ zwalcza obskurantyzm pysznych entuzjastów nowoczesności samemu nie popadając w obskurantyzm. Kochamy go, ponieważ uczy nas wybierać wierność i męstwo a nie tanią kurtuazję.

Chesterton porównuje się sam do angielskiego żeglarsza, który dopływając do Anglii sądził, że odkrył wyspy na morzach południowych. Ortodoksja to odkrywanie prawdy dawno już odkrytej. Jakże fascynujące może być to wyważanie otwartych drzwi. Drzwi otwarte są od dwóch tysięcy lat, a jednak przygoda z prawdą, którą napotykamy po przekroczeniu progu, jest nieodmiennie oszałamiająca. Chesterton naśladuje tych, którzy zdecydowali się na szaleństwo przekroczenia progu drzwi dawno wyważonych i rozświećta się tak jak oni blaskiem oryginalności. Nie ma dwu takich samych chrześcijan, którzy na serio przejęliby się zawartością skarbca ortodoksji. Klejnoty

wydobywane z tego skarbca pozwalają nam najpełniej odnaleźć samych siebie. Zrozumieć, że jesteśmy kopią tęskniącą do oryginału i dopiero w tej relacji dostąpić stanu, o którym tak marzy współczesny człowiek – stanu samorealizacji.

Chesterton, odkrywając prawdę dawno odkrytą, odnalazł nie tylko siebie, odnalazł siebie także dla innych. Ortodoksja jest bardzo mocnym i jednym z najważniejszych świadectw wiary chrześcijańskiej w XX wieku. Jest także pierwszą pozycją w „bibliotece Frondy”. Wybór tłumaczy się sam.

Rafał Smoczyński

Mojej Matce

PRZEDMOWA

Książka ta została pomyślana jako uzupełnienie *Heretyków*, w celu ukazania pozytywnej strony obok już istniejącej negatywnej. Wielu publicystów skarżyło się, że książka *Heretycy* poddaje krytyce współczesne filozofie, nie proponując przy tym filozofii alternatywnej. Niniejsza książka jest próbą odpowiedzi na to wyzwanie. Jest ona nieuchronnie pozytywna, a zatem nieuchronnie autobiograficzna. Autor pisząc ją napotkał te same trudności, które towarzyszyły kardynałowi Newmanowi w czasie pisania *Apologii*; czuł się zmuszony do egocentryzmu tylko dlatego, że chciał być szczery. Chociaż książki te mogą się różnić pod każdym innym względem, w obu wypadkach cel pracy był ten sam. Autorowi nie chodziło o wyjaśnienie, czy w ogóle można uwierzyć w chrześcijaństwo; chciał jedynie pokazać, w jaki sposób sam w nie uwierzył. Dlatego też książka ta została skomponowana zgodnie z zasadą zagadka – odpowiedź. Przedstawia ona najpierw osobiste i szczere wątpliwości autora, a następnie zadziwiający sposób, w jaki zostały one wyjaśnione przez teologię

chrześcijańską. Autor uważa ten system religijny za przekonujący. Jeśli jednak tak nie jest, cała rzecz stanowi przynajmniej uporczywy i zaskakujący zbieg okoliczności.

Gilbert K. Chesterton

I
WSTĘP
W OBRONIE CAŁEJ RESZTY

Jedynym usprawiedliwieniem napisania tej książki jest fakt, że stanowi ona odpowiedź na wyzwanie. Nawet kiepski strzelec zasługuje na szacunek, jeśli przyjmuje wyzwanie na pojedynek. Jakiś czas temu opublikowałem zbiór pisanych w pośpiechu, ale za to szczerych esejów pod tytułem *Heretycy*. Wówczas kilku krytyków, których szanuję ze względu na ich intelekt (na wzmiankę zasługuje tu zwłaszcza G.S. Street), orzekło, że wymaganie, aby każdy udowodnił swoją teorię wszechświata, jest z mojej strony bardzo chwalebne, nie wtedy jednak, gdy sam ostrożnie unikam poparcia swoich nauk przykładami. „Zacznę się martwić o swoją filozofię – napisał Street – kiedy Chesterton przedstawi nam swoją”. Dość nieostrożna propozycja, zważywszy, że skierowano ją do osoby gotowej napisać książkę pod byle jakim pretekstem. Koniec końców jednak Street, chociaż to on jest inspiratorem i pomysłodawcą tej książki, nie musi jej czytać. Jeżeli mimo wszystko ją przeczyta, przekona się, że na jej kartach starałem się w nieprecyzyjny i osobisty sposób przedstawić – raczej za pomocą obrazów niż

logicznego ciągu rozumowania – filozofię, do której doszedłem. Nie nazywam jej moją filozofią, ponieważ nie ja ją stworzyłem. Została stworzona przez Boga i ludzkość, i to właśnie ona stworzyła mnie tym, kim jestem.

Już wiele razy miałem ochotę napisać opowieść o żeglarzu – Angliku, który na skutek drobnej pomyłki w obliczeniach odkrył Anglię, sądząc, że jest to nieznaną wyspą na Morzach Południowych. Zawsze jednak okazywało się, że jestem albo zbyt zajęty, albo zbyt leniwy, by napisać to wiekopomne dzieło. Mogę więc równie dobrze zdradzić jego treść i wykorzystać ją jako filozoficzną ilustrację. Moja opowieść zrodzi zapewne ogólne przekonanie, że ów uzbrojony po zęby i używający języka migowego człowiek, wylądowawszy, by zatknąć brytyjską flagę na szczycie pogańskiej świątyni, która okazała się Pawiłonem w Brighton, musiał czuć się dość głupio. Ale jeśli uważacie, że czuł się głupio czy też, że wrażenie własnej głupoty było jego jedynym lub przynajmniej dominującym uczuciem, znaczy to, że nie dość wnikliwie zastanowiliście się nad bogatą, romantyczną naturą naszego bohatera. Jego pomyłka stanowiła w rzeczywistości pomyłkę godną pozazdroszczenia i on sam dobrze o tym wiedział, chyba że nie jest człowiekiem, za jakiego go uważam. Czy może być coś bardziej zachwycającego niż przeżycie – w ciągu kilku minut – strachu i fascynacji, towarzyszących dalekiej podróży, w połączeniu z głęboko ludzkim poczuciem bezpieczeństwa, które ogarnia nas, gdy wracamy do domu? Czy może być coś lepszego niż radość z odkrycia

Południowej Afryki bez odpychającej konieczności przybicia do jej brzegów? I czy może być coś wspanialszego niż przygotowanie się do odkrycia Nowej Południowej Walii, a następnie odkrycie ze łzami szczęścia w oczach, że tak naprawdę jest to stara, Południowa Walia? Wydaje mi się, że to właśnie jest głównym problemem dla filozofów, a w pewnym sensie także głównym zagadnieniem tej książki. W jaki sposób możemy równocześnie zdumiewać się światem i czuć się w nim jak w domu? W jaki sposób to dziwaczne, kosmiczne miasteczko z jego wielonogimi mieszkańcami i światłem monstualnych, starożytnych lamp – w jaki sposób ten świat może być dla nas zarazem fascynujący jak nieznana osada i pełen swojskiego dostojństwa jak nasze rodzinne miasto?

Udowodnienie ze wszystkich możliwych punktów widzenia, że jakaś wiara czy filozofia jest prawdziwa, byłoby zadaniem zbyt wielkim, nawet dla książki o wiele obszerniejszej niż moja. Nie należy schodzić z raz wytyczonej ścieżki, a ścieżka, którą obrałem, jest następująca: zamierzam wyłożyć moje credo jako szczególną odpowiedź na podwójną potrzebę ducha – mieszaninę znanego z nieznanym – która w chrześcijańskim świecie słusznie zyskała nazwę romancy, romansu. Samo bowiem słowo „romanca, romans” ma w sobie tajemniczość i starożytne znaczenie Romy, czyli Rzymu. Każdy, kto zabiera się do dyskusji na jakikolwiek temat, powinien zacząć od określenia tego, czego nie ma zamiaru poddawać pod dyskusję. Oprócz stwierdzenia, czego pragnie dowieść, powinien zapowiedzieć, czego

udowadniać nie zamierza. Sprawą, której nie myślę udowadniać i którą uznaję za przedmiot cichego porozumienia między mną i moim czytelnikiem, jest to, że aktywne, pełne fantazji życie, życie barwne i nie pozbawione poetyckiej ciekawości – to znaczy takie, jakiego zawsze pragnął człowiek Zachodu, jest niewątpliwie atrakcyjne dla każdego. Jeżeli ktoś woli eksterminację od egzystencji albo nudną egzystencję od różnorodnego i pełnego przygód życia, to nie należy on do tej grupy zwykłych ludzi, do których kieruję te słowa. Jeżeli człowiek niczego nie pragnie, niczego też ode mnie nie dostanie. Ale prawie wszyscy ludzie Zachodu jakich spotkałem zgodziliby się z ogólnym twierdzeniem, że każdy potrzebuje w życiu nieco praktycznej romantyczności; połączenia czegoś dziwnego i obcego z czymś bezpiecznym i swojskim. Pragniemy spojrzeć na świat w taki sposób, by jednocześnie zadziwiał nas i zapraszał do odpoczynku. Pragniemy odnaleźć szczęście w tej krainie czarów, ani na chwilę nie ograniczając się do tego, by było nam tylko wygodnie. Właśnie to osiągnęła moja wiara i tym jej osiągnięciem chciałbym się zająć na kartach tej książki.

Miałem jednak jeszcze jeden szczególny powód, by wspomnieć o żeglarzu, który odkrył Anglię. Wspomniałem o nim, ponieważ sam nim jestem. To ja odkryłem Anglię. Nie widzę sposobu, by uniknąć w tej książce egocentryzmu; prawdę powiedziawszy, nie widzę także sposobu, by uniknąć monotonii. Monotonia jednak uwolni mnie przynajmniej od zarzutu, nad którym najbardziej boleję; zarzutu nonszalancji. Tak się składa,

że pusta sofistyka jest rzeczą, której nienawidzę bardziej niż cegogokolwiek innego i dlatego zdrową nauczkę stanowi dla mnie fakt, iż właśnie o nią jestem najczęściej oskarżany. Nie znam nic godniejszego pogardy niż paradoks stworzony dla samego paradoksu lub błyskotliwa obrona tego, czego naprawdę obronić nie sposób. Gdyby było prawdą, że (jak mówią) Bernard Shaw żyje z tworzenia paradoksów, powinien do tej pory stać się milionerem; człowiek o umyśle tej klasy potrafi bowiem wymyślić dziesięć sofizmatów na godzinę. Jest to tak proste jak mówienie kłamstw, bo w rzeczywistości nie jest niczym innym. Oczywiście, prawda wygląda inaczej: Shaw jest okrutnie ograniczony przez fakt, że nie może powiedzieć żadnego kłamstwa, dopóki nie uwierzy w jego prawdziwość. Ja sam znajduję się w tych samych nieznosnych pętach. Nigdy w życiu nie powiedziałem czegoś tylko dlatego, że uważałem to za śmieszne. Chociaż rzecz jasna nie jestem pozbawiony zwykłej ludzkiej chępliwości i mogłem uważać, że coś jest śmieszne tylko dlatego, że ja to powiedziałem. Opisać rozmowę z gorgoną albo gryfem, czyli istotą, która nie istnieje, to jedna sprawa. Natomiast odkryć, że nosorożec istnieje i móc rozkoszować się faktem, że wygląda tak, jakby nie istniał, to coś zupełnie innego. Szukamy prawdy, ale może się okazać, że instynktownie poszukujemy prawd bardziej niezwykłych. Dedykuję tę książkę z najszczerzszymi uczuciami tym wszystkim wesołkom, którzy nienawidzą mojej pisaniny i uważają ją (o ile wiem, nie bez racji) za kiepską błazenadę lub jeden zbyt długi, nudny żart.

Jeżeli bowiem książka ta jest żartem, jest to żart ze mnie samego. Ja sam jestem tym człowiekiem, który zdobył się na szalonej odwagę, by odkryć to, co już przedtem zostało odkryte. Jeśli w dalszych rozdziałach można znaleźć element farsy, jest to farsa moim kosztem. Książka ta opowiada bowiem, jak uległem złudzeniu, że jestem pierwszym człowiekiem, który postawił stopę w Brighton, a potem odkryłem, że uczyniłem to jako ostatni. Opisuje ona moje słoniowe przygody w pogoni za oczywistością. Nikomu mój przypadek nie może wydawać się bardziej absurdalny niż mnie samemu; nikt z czytelników nie może zgłaszać pretensji, że robię z niego błazna, bo to ja jestem błaznem w tej opowieści i żaden buntownik nie zrzuci mnie z mego tronu. Dobrowolnie przyznaję się do wszystkich idiotycznych ambicji końca dziewiętnastego wieku. Próbowiałem, jak wielu innych poważnych, małych chłopców, wyprzedzić epokę. Tak jak oni próbowałem choć o dziesięć minut wyprzedzić prawdę. A na koniec odkryłem, że to ona wyprzedziła mnie o osiemnaście stuleci. Z boleśnią młodzieńczą przesadą wypowiadałem swoje prawdy podniesionym głosem. I zostałem ukarany w najodpowiedniejszy a zarazem najzabawniejszy sposób: nie zostałem pozbawiony swoich idei, odkryłem zaś nie to, że nie są one prawdziwe, ale po prostu, że nie są moje. Gdy wydawało mi się, że stoję samotnie, znajdowałem się w rzeczywistości w dość zabawnej pozycji: byłem wspierany przez całe chrześcijaństwo. Jest możliwe – niech mi Bóg wybaczy – że starałem się być oryginalny, ale jedyne, co mi się udało, to

wynalezienie, zupełnie na własną rękę, istniejących już tradycji cywilizowanej religii w nie najlepszej wersji. Nasz żeglarz sądził, że jako pierwszy odkrył Anglię, ja byłem przekonany, że jako pierwszy odkryłem Europę. Próbowałem stworzyć własną herezję, a kiedy robota była skończona, okazało się, że wynalazłem ortodoksję.

Być może to „szczęśliwe fiasko” wyda się komuś zabawne. Dla mego wroga lub przyjaciela mogłaby być niezłą rozrywką lektura, jak to stopniowo dochodziłem – z prawdy zawartej w jakiejś przypadkowej legendzie lub z fałszu którejś z obowiązujących filozofii – do tego, czego mógłbym się dowiedzieć z katechizmu, gdybym tylko kiedyś się go nauczył. Opowieść o ostatecznym znalezieniu przeze mnie w klubie anarchistów lub w babilońskiej świątyni tego, co było dostępne w najbliższym kościele parafialnym, może, choć nie musi dostarczyć komuś dobrej zabawy. Jeśli kogokolwiek bawi czytanie o tym, jak kwiaty na polu i zdania w omnibusie, wydarzenia polityczne i bóle młodości zbiegły się razem w określonym porządku, by w efekcie przynieść niewzruszoną pewność co do prawdziwości chrześcijańskiej ortodoksji, być może przeczyta tę książkę. We wszystkim jednak potrzebny jest rozsądny podział pracy. To ja napisałem niniejszą książkę i za nic w świecie nie dam się przekonać do jej przeczytania.

Dodam jeszcze jedną czysto pedantyczną uwagę, którą zamieszczam, tak jak powinno się zamieszczać wszystkie uwagi, na początku tekstu. Eseje składające się na ten tom mają jedynie

za zadanie uświadomienie czytelnikowi faktu, że podstawowa teologia chrześcijańska (wystarczająco przedstawiona w Składzie Apostolskim) jest najlepszym źródłem energii i zdrowej etyki. Nie zajmują się one natomiast niezwykle fascynującą, ale zupełnie inną kwestią dotyczącą siedziby władzy uprawnionej do głoszenia tak rozumianej wiary. Mówiąc o ortodoksji, mam na myśli Skład Apostolski rozumiany tak, jak jeszcze do niedawna rozumieli go wszyscy nazywający się chrześcijanami, a także ogólnie przyjęte zachowanie się jego wyznawców w ciągu wieków. Szczupłość miejsca zmusiła mnie do ograniczenia się jedynie do opisu tego, co sam zyskałem dzięki tej wierze. Nie zajmuję się tu kwestią wywołującą wiele dyskusji wśród współczesnych chrześcijan, a mianowicie skąd my sami zyskaliśmy tę wiarę. Nie jest to traktat z eklezjologii, ale coś w rodzaju niechlujnej autobiografii. Jeśli jednak ktoś życzyłby sobie poznać moje poglądy na temat prawdziwego charakteru rzeczowej władzy, musi poczekać, aż pan G.S. Street rzuci mi kolejne wyzwanie. Wtedy napiszę dla niego kolejną książkę.



II

MANIAK

Najbardziej światowi ludzie nigdy nie rozumieją świata; polegają całkowicie na kilku cynicznych powiedzeniach, które nie mają nic wspólnego z prawdą. Pamiętam, jak kiedyś przechadzałem się z dobrze prosperującym wydawcą. Wygłosił on uwagę już przedtem często przeze mnie słyszaną – jest ona nieomal mottem współczesnego świata. Usłyszałem ją wtedy o jeden raz za dużo i nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma w niej ani krzty prawdy. Wydawca powiedział mianowicie o kimś: „Ten człowiek da sobie radę. On wierzy w siebie”. I pamiętam, że gdy podniosłem głowę, aby go lepiej słyszeć, kątem oka dostrzegłem omnibus z napisem „Hanwell”¹. Powiedziałem mu: „Chce pan, żebym panu powiedział, gdzie są ci, którzy najbardziej w siebie wierzą? Mogę panu powiedzieć. Znam ludzi, których wiara w siebie jest jeszcze bardziej kolosalna niż wiara Napoleona czy Cezara. Wiem, gdzie błyszczący nieruchoma gwiazda pewności

¹ Hanwell – miejscowość w pobliżu Londynu, znana z mieszczącego się tam szpitala dla psychicznie chorych (przyp. tłum.).

i sukcesu. Mogę zaprowadzić pana przed tron Nadczłowieka. Bo ci, którzy wierzą w siebie najbardziej, są w zakładach dla umysłowo chorych”. Wydawca odpowiedział na to łagodnie, że jest w końcu wielu ludzi, którzy wierzą w siebie, a mimo to nie trafili do takich zakładów. „Owszem – odparłem – i to pan powinien znać ich najlepiej. Ten pijący poeta, od którego nie chciał pan wziąć żadnej fatalnej tragedii, on też w siebie wierzył. Albo ten podstarzały pastor, który napisał poemat epicki i przed którym chował się pan w pokoju na tyłach. On także miał wielką wiarę w siebie. Gdyby odwołał się pan do swojego doświadczenia zawodowego zamiast polegać na wstrętnej, indywidualistycznej filozofii, przekonałby się pan, że wiara w siebie jest jedną z najpopularniejszych cech nieudacznika. Aktorzy, którzy nie potrafią grać, niezmiennie wierzą w siebie, podobnie jak dłużnicy, którzy nie płacą długów. O wiele prawdziwsze byłoby twierdzenie, że człowiek, który wierzy w siebie, z pewnością nie da sobie rady. Absolutna wiara w siebie jest nie tylko grzechem; absolutna wiara w siebie jest słabością. Niezachwiana wiara we własne ja jest wiarą tak samo przesadną i histeryczną, jak wiara w Joannę Southcote²: człowiek, który odznacza się taką wiarą, ma wypisane na czole «Hanwell» tak wyraźnie, jak na tablicy tego omnibusu”. Na to wszystko mój znajomy wydawca wygłosił taką oto głęboką i efektowną odpowiedź: „No, ale skoro człowiek nie miałby

² Joanna Southcote (wł. Southcott) (1750-1814) – fanatyczka religijna, która zdobyła wielu zwolenników fałszywymi przepowiedniami i przypisywaniem sobie zdolności nadprzyrodzonych (przyp. tłum.).

wierzyć w siebie, to w co właściwie miałby wierzyć?” Po dłuższym namysle powiedziałem: „Pójdę do domu i napiszę książkę w odpowiedzi na to pytanie”. A oto i książka, którą napisałem.

Wydaje mi się jednak, że książka ta może się rozpocząć równie dobrze tam, gdzie rozpoczęła się moja rozmowa z wydawcą – wokół tematu o domach wariatów. Współcześni mistrzowie nauki są pod wielkim wrażeniem tego, że każde badanie naukowe należy rozpoczynać od zdarzenia. Dawni mistrzowie religii byli pod równie wielkim wrażeniem tej konieczności. Dlatego swoje rozważania rozpoczynali od grzechu – faktu tak rzeczywistego i praktycznego jak ziemniak. Niezależnie od tego, czy człowiek mógł zostać obmyty w czarodziejskich wodach, czy też nie, na pewno potrzebował kąpieli. Dziś jednak niektórzy przywódcy religijni Londynu, choć nie są zwykłymi materialistami, zaczęli wyrażać sprzeciw, i to nie wobec wielce dyskusyjnej prawdziwości wód, ale wobec bezdyskusyjnej prawdziwości brudu. Niektórzy współcześni teologowie wątpią w grzech pierworodny, chociaż jest to jedyna część teologii chrześcijańskiej, której naprawdę można dowieść. Z kolei wyznawcy wielebnego R.J. Campbella³ wierzą, w swej aż nazbyt wymyślnej duchowości, w nadprzyrodzoną bezgrzeszność, której nie mogą zobaczyć nawet we własnym śnie. Odrzucają przy tym praktycznie ludzką grzeszność, którą codziennie widzą

³ R.J. Campbell (1867-1956) był wówczas pastorem City Temple w Londynie. Jeden z czołowych modernistów chrześcijańskich (przyp. red.).

na ulicy. Zarówno najwięksi święci, jak i najwięksi sceptycy za punkt wyjściowy swoich wywodów przyjmują realne istnienie zła. Jeśli prawdą byłoby (a z pewnością jest), że człowiek potrafi czerpać najdoskonalsze zadowolenie z obdzierania kota ze skóry, filozof religii może wyciągnąć z tego faktu tylko jeden z dwu wniosków. Musi albo zaprzeczyć istnieniu Boga, jak to czynią ateści, albo też zaprzeczyć istnieniu jedności pomiędzy Bogiem i człowiekiem, jak to czynią chrześcijanie. Nowoczesnym teologom wydaje się natomiast, że najrozsądniejszym rozwiązaniem byłoby podanie w wątpliwość samego istnienia kota.

W tej niezwyklej sytuacji nie mogę (w każdym razie nie z nadzieją powszechnego zrozumienia) rozpocząć, jak nasi ojcowie, od faktu grzechu. Ten fakt, który był dla nich (i jest dla mnie) jasny jak słońce, został obecnie w szczególny sposób rozmyty lub wręcz usunięty. Ale choć współcześni negują istnienie grzechu, nie sądzę, by podważali także istnienie założeń dla umysłowo chorych. Wciąż jeszcze wszyscy zgadzają się co do tego, że istnieje intelektualna ruina równie rzeczywista jak gruzy zawalonego domu. Przeczy się istnieniu piekła, jak na razie jednak nie przeczy się istnieniu Hanwell. Dla naszego głównego wyводу jedno można z powodzeniem zastąpić drugim. Chodzi mi o to, że tak jak kiedyś wszystkie myśli i teorie oceniano na podstawie ich zgubnego wpływu na ludzką duszę, tak dla naszych bieżących celów wszystkie współczesne myśli i teorie można ocenić na podstawie ich zgubnego wpływu na ludzki rozum.